
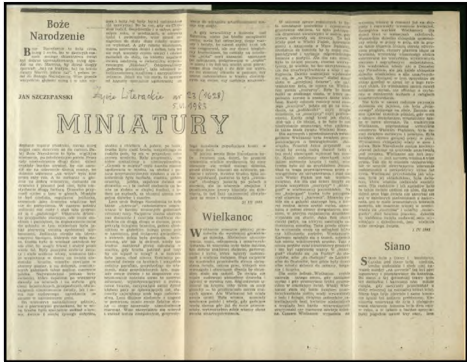


<p>Logotyp</p> 	<p>Nazwa instytucji</p> <p>Muzeum Ustrońskie</p>	
<p>Tytuł jednostki / publikacji / fotografii</p> <p>Miniatury, „Życie Literackie”, 5 czerwca 1983 r., nr 23(1628), s. 8, 9.</p>		
<p>Ilość stron oryginału</p> <p>2</p>	<p>Ilość skanów</p> <p>2</p>	<p>Liczba plików publikacji</p> <p>7</p>
<p>Autor</p> <p>Jan Szczepański</p>	<p>Wydawnictwo / zakład fotograficzny</p> <p>Robotnicza Spółdzielnia</p>	<p>Skan okładki</p> 
<p>Miejsce wydania</p> <p>Warszawa</p>	<p>Rok wydania / Data powstania</p> <p>1983</p>	
<p>Sygnatura</p> <p>---</p>	<p>Rodzaj zasobu (np. zdjęcie, czasopismo itp.)</p> <p>artykuł</p>	
<p>Wymiary (wys x szer)</p> <p>31,2 x 22,7 cm, 18,3 x 10,5</p>	<p>Stan zachowania</p> <p>---</p>	<p>Charakterystyka skanowanego obiektu</p>
<p>Hasła przedmiotowe (okres historyczny, postacie, miejsce)</p> <p>XX wiek, II Rzeczpospolita, Polska Rzeczpospolita Ludowa, Jan Szczepański, Ustroń, Śląsk Cieszyński</p>		<p>Jan Szczepański powraca w „Miniaturach” do własnych lat dziecięcych, kreśląc obraz pełen nostalgii i sympatii. Skupia się na takich aspektach swojego młodego życia, jak zwyczaje świąteczne panujące w jego domu rodzinnym, szczególnie te związane z Bożym Narodzeniem i Wielkanocą, a także przybliża czytelnikom metodę wytwarzania siana i jego rolę w gospodarstwie wiejskim.</p>
<p>Hasła tematyczne (np. miasto, przemysł, kuźnia, letnicy itp.)</p> <p>rolnictwo, kultura, kultura ludowa, Kościół Ewangelicko – Augsburski w Polsce, polscy ewangelicy, religia, zwyczaje świąteczne, Boże Narodzenie, Wielkanoc, wspomnienia, bieda, społeczeństwo, socjologia, „Życie Literackie”, Beskidy, rodzina, Śląsk,</p>		
<p>Prawa autorskie</p> <p>---</p>		

Boże Narodzenie

Boże Narodzenie to była zima, śnieg i mróz, bo w dawnych czasach mojego dzieciństwa świat był dobrze uporządkowany, śnieg spadał na św. Marcina, by dzieci mogły śpiewać: „hej na białym, hej na koniu święty Marcin jedzie już”. I potem leżał do Bożego Narodzenia. Więc przede wszystkim głęboki śnieg i w nim wy-

pies i koty, też były lepiej nakarmione niż zazwyczaj. Bo ta noc, gdy się Chrystus rodził, decydowała i o całym przyszłym roku, o urodzajach, o zdrowiu ludzi i zwierząt, więc przed zasiadaniem do stołu dużo roboty musiało wykonać. A gdy robotę skończono, mama szorowała dzieci i siebie, tata też się mył, wszyscy czysto umyć i ubrać zasiadali do stołu, na którym zapalano świecę osadzoną w świeczniku wypolerowanym „Sidolem”. Odśpiewaliśmy „pobożną pieśniczkę”, tata odmówił okolicznościową modlitwę i zaczęliśmy jedzenie. Jeżeli się nie mylę, to zawsze od kapusty specjalnie ugotowanej na

JAN SZCZEPANSKI

*Życie Literackie nr 23 (1628)
5.VI.1983*

MINIATURA

deptane wąskie chodniki, nieraz śnieg sięgał nam dzieciom aż do ramion. Dalej Boże Narodzenie to była wigilijna wieczerza, po całodziennym poście. Przez cały nieskończenie długi dzień dzieci musiały bardzo uważać, by nie parzyć się na uderzenie dłonią mamy, bo dziecko uderzone „na wilię” było bite przez cały rok. A to czekanie o głodzie na dobrą wieczerzę, czekanie na drzewko i prezent pod nim, było niesłychanie długą torturą. Drzewko przynosił ojciec z lasu w górach. Musiała to być nieduża, regularna jedliczka, smreczek jako drzewko wigilijne był nie do pomyślenia. W naszym potoku jedliczki nie rosły i stąd tata przynosił ją z „pańskiego”. Ubieranie drzewka przypadło starszym ode mnie siostrze i pamiętam, że dopuszczenie mnie do udziału w tym misterium było jakąś pierwszą oznaką społecznej użyteczności. Jedliczkę stroiło się błyszczącymi baniami, których nie było dużo, trzeba było je wieszać ostrożnie by nie zbić, by mogły trwać i służyć przez wiele lat. Były puszyste srebrne sznurki i cięte srebrne włosy, wieszano także wypiekane w domu na święta ciasteczka krusze, orzechy zawijane w złocisty papier, a na dolnych, mocniejszych gałęziach także piękne, czerwone jabłka. Najważniejsze jednak były świeczki, które zapalone po wieczerzy dawały na ścianach i na suficie grę cieni tajemniczych, przepastnych, otwierających niezmiernie światy, jak i sama noc cudownego narodzenia za oknem w zaśniewanym polu.

Do wieczerzy zasiadaliśmy później, nie z pierwszymi gwiazdami, bo w wilię trzeba było specjalnie zadbać o krowy, świnię i resztę żywego dobytku,

słodko z chlebem. A potem, po kolei, trzeba było zjeść trochę wszystkiego co rodziło pole, by się w przyszłym roku znowu urodziło. Były przysmaki, na które czekaliśmy z niecierpliwością. „Gryzek w mlyku” czyli kaszka marna ugotowana w mleku, na słodko i polana przyrumienionym masłem a na zakończenie była herbata, ciastka, potem orzechy, jabłka, zapalone świece na drzewku — i ta radość siedzenia na ławie za stołem w ciepłej kuchni, z lodem na szybach, z oknami zimna noc pełna dziwów i czarów.

Lecz urok Bożego Narodzenia to była także „jutrznia”, nabożeństwo odprawiane w bardzo wczesnych godzinach zimowej nocy. Najpierw mama ubierała nas starannie i zawiązała możliwie dokładnie na długą drogę w mrozie, przez pokrytą śniegiem brzezinę, potem chodnikiem w głębokim śniegu przez pola w kamieniu, pod lśniącymi gwiazdami, z których jedna była gwiazdą betlejemską, ale jak ją dojrzeć, kiedy tak trudno zadzierać głowę zakutaną w szalik, gdy trzeba patrzeć pod nogi by nie wpaść w śnieg? A w kościele było jasno, choć zimno. Kościelny postawiał świece na ławkach i wszystkie rodziny parafian, przechodząc do własnych, stałe przydzielonych ław, zapalały swoje świece i to stopniowo rozbłyskiwanie kościoła coraz to nowymi świecami, wydobywającymi z mroku nowe twarze, zaczynające zaraz dymić kłębem pary ze śpiewających ust, stanowiły największy urok tego nabożeństwa. Lecz dłuższe siedzenie z nogami w powietrzu miało swoje fatalne strony — stopy zaczynały niemiłosiernie marznąć. Więc zaczynałem się wiercić i czekać końca niespokojnie, przywoły-

wany do porządku szturchnięciami mamy czy siostr.

A gdy wracaliśmy z kościoła nad Równicą, niebo już błędnymi zaczątkami świtu, mróz był ostrzejszy, stopy marzyły i bolały, bo nawet szybki krok ich nie rozgrzewał, ale my dzieci biegłyśmy truchcikami, bo czekały na śniadanie „jelita” czyli kaszanki upieczone po zabijacze, podgrzewane w „trąbie” w piecu i to był ten wielki urok pierwszego dnia świąt i do dziś nie wiem, co mi mocniej utkwilo w pamięci, czy nocne nabożeństwo w blasku chwiejących się świec, czy nadzieja smakowi-

tego śniadania popędzająca kroki w mroźny świt.

W jakimś sensie Boże Narodzenie było świętem nas, dzieci, bo przecież wszystkie wielkie wydarzenia tej nocy obracały się wokół małego dziecka, przed którym kłaniali się królowie, pasterze i krowy. Królów trudno było sobie wyobrazić, pasterze to byli „owczarze” chodzący jesienią po polach z owcami, ale że wiecznie obojętne i przezuwające krowy kłaniały się dziecku, to był fakt najmocniej chwytający za serce i wyobraźnię.

31 III 1983

Wielkanoc

Wielkanoc znacznie później przemówiła do wyobraźni góralskiego dziecka. Misterium ukrzyżowania, męki, odkupienia i zmartwychwstania, to wszystko było takie dalekie, bez dobrze znajomej stajenki, pasterzy, owiec i krow, które łączyły codzienność z wielkim świętem. Stąd najpierw do wyobraźni przemówiła strona obrzędowa święta, zakres prac, których ono wymagało i obowiązek dbania by obrzędem stało się zadość. Te święta nie miały cudownej atmosfery drzewka i jutrzni w mroźną noc. Bóg-człowiek umierał na krzyżu, niby także za moje grzechy — to przekraczało zakres znanych spraw. Ale Wielkanoc też miała swoje uroki. Była wiosna, szumiały wezbrane potoki i wtedy, gdy gadające wodą zбочa gór już do mnie przemawiały, wytworzyłem sobie własny obraz święta zmartwychwstania.

W zakresie spraw rodzinnych to było zamiatanie podwórka i czyszczenie gruntowne obejścia, to było potrząsanie drzewami owocowymi w sadzie, gdy znowu odezwały się dzwony. To był ścisły post w Wielki Piątek, śpiewanie pieśni z kancynola o Męce Pańskiej, chodzenie do kościoła by tę mękę zapamiętywać i czytanie odpowiedniego kazania z postylli. Ale dla nas, dzieci, było to święto ponure, chociaż wierzyliśmy, że wielkie, bo bez ukrzyżowania nie ma zmartwychwstania a więc i odkupienia. Daleko ważniejsze wydawało mi się, że „na Wielkanoc” diabeł suszy złoto w „pińczęj dzurze”, ale najważniejsze było, że mama na Wielkanoc piekła „murzynę”. Były to białe bułki ze słodkiego ciasta, w które zapiekano szynkę a czasami także kiełbase. Każdy członek rodziny miał swojego „murzyna”, jadało się go na śniadania, na „podobiutki” czyli drugie śniadania, na „swaczyny” czyli podwieczorki. Każdy mógł kroić jak chciał, jeść jak i ile chciał, a że było to coś niesłychanie smacznego, więc nadawało także blask świętu Wielkiej Nocy.

Dla surowych i prostodusznych ewangelików Wielkanoc była świętem przypominającym o bezwzględności obowiązku. Przecież Jezus przyszedł na świat by swoją męką zbawić ludzi i ten swój obowiązek wykonał bez reszty. Każdy codzienny obowiązek miał jakieś elementy krzyża i męki, więc trzeba było iść za przykładem Jezusa. Stąd ta waga przywiązywana przez ewangelików do ukrzyżowania i stąd dla nich Wielki Piątek jest tak wielkim świętem. Ale dla nas dzieci liczyły się przede wszystkim „murzynę” i „śmiergust” w wielkanocny poniedziałek. Na ten „śmiergust” trzeba było przygotować sikawkę i „karwacz”. Sikawkę robiło się z gałązki czarnego bzu, z której można łatwo zrobić rurkę, zamkniętą z jednej strony drewnianym korkiem, w którym rozpalonym drucikiem wypalało się otwór. Jako tłok służył cienki patyk, na którym nawinięto zatłuszczoną szmatkę. Taka prosta sikawka wyrzucała wodę na odległość kilku czy kilkunastu metrów. Wystarczyło. Karwacz splatało się z trzech, czterech lub ośmiu wiklinowych prętów. Taki z ośmiu prętów miał kwadratowy przekrój i ten był naprawdę ważny. W „śmiergust” chodziło się „na Pustki” do starych, albo „do chałupki” do Lorków, albo do Dusterów, tam gdzie były dzieci albo młodzi skłonni do zabawy, biegania i krzyku.

Dla mnie jednak Wielkanoc rychło nabrała innego sensu, gdy zacząłem czytać i gdy przeczytane treści przenosiłem w otaczający świat. Wtedy Wielkanoc stała się także świętem zmartwychwstania roślin, wody wyzwolonej z lodu i śniegu, świętem potoczków, zakwitających bazi, kwiatów nieśmiały z wyglądu lecz hardo wyzywających przymrozki czy marcowe zawieje śnieżne. Czasem Wielkanoc wypadała na

wczesną wiosnę a czasami już na dojrzały i rozwinięty wiosenny kwiecień. Szczególna wartość Wielkanocy dla dzieci tkwi w wakacjach szkolnych. Wprawdzie dziecko chłopskie uczestniczy wtedy w pracy w polu, ale ta praca także objawia lśniąca ziemię odwróconą plugiem, chmury ptactwa idące za bronami, wyzwanie wiosennego słońca skierowane ku wszystkim wysiewanym ziarnom i zagrzebanym sadzeniakom. Nie wiedziałem wtedy nic o Demeter czy Persefonie, ale jak każde chłopskie dziecko wiedziałem o sile zmartwychwstania, tkwiącej w tym wszystkim co chłop grzebał w ziemi by z tego tworzyć chleb. To wiedziałem zanim nawet umiałem czytać, nie mówiąc o czytaniu o rolniczych kultach i religiach zmartwychwstania.

Nie było w naszej rodzinie zwyczaju dzielenia się jajkiem, nie było „święconego” stojącego na stole. Zaczęło się ono zjawiać znacznie później, gdy wraz z naszym dorastaniem wrastaliśmy także w nowe obyczaje. Ta tradycyjna Wielkanoc, poprzeczona uroczyste czczeniem Wielkim Piątkiem, była raczej świętem surowym i prostym. Była świętem okresu gorącej pracy w polu. Wyznaniem chłopskiej wiary w siew i żniwa. Boże Narodzenie można kontemplować patrząc na przyrodę zmartwiającą pod mrozem. Wielkanoc nie jest kontemplacją — jest czynem, wiosną a więc pracą. Tak się to musiało niejasno klebić w umyśle chwytającym zdarzenia codzienności z perspektywy kilku lat życia. Wielkanoc przychodziła jak wiosna, była jej składnikiem, była świętem, które wiosną nadawało swoisty sens. Dla rodziców i ich sąsiadów było to także święto nadziei na plon, dla nas dzieci sens tego święta nie zamykał się ani w żalobnych pieśniczkach z kancynola, ani w mało zrozumiałych tekstach postylli, ale znacznie więcej w oczekiwaniu na „murzynę” i uciechy „śmiergustu”. Jest bowiem prawem dziecka by każdemu świętu nadawać sens wynikający z dziecinnych, lecz wielkich miar swojego świata.

1 IV 1983

Siano

Siano było z trawy i koniczyny. Łączka pod siano była nieduża, trochę podmokła i obok niej kawałek miedzy „na uwrocie” też był pielęgnowany i pozostawiany do koszenia. Bo siano z tej delikatnej trawy było też delikatne i karmiono nim młode cielęta, gdy zaczynały przechodzić z diety mlecznej na normalny krowi wikt. Siana tego było niewiele i samo koszenie łączki też żadnym problemem. Koniczyna wsiewana do żyta i pielęgnowana starannie koszona była dwa razy w roku, a w latach o bardzo sprzyjającej pogodzie nawet trzy razy, lecz

wysuszenie tego trzeciego pokosu późną jesienią bywało bardzo trudne gdyż nocne mgły wiszące długo rankami nasycaly siano w orstwiach wilgocią, której niskie i krótkie słońce nie mogło wyśuszyć.

Dobrze po czternastym roku życia zacząłem sam próbować kosy, ale na długo przedtem wiedziałem, że koszenie „kończyny” to robota ciężka i mordercząca. Ojciec sam nie dawał rady więc dopraszano jeszcze innych „kośców”, najczęściej przychodził Cieślar, niedużego wzrostu, ogromnej siły fizycznej, dobroduszny i zawsze wesoły. Był on „wieczny”, bo pamiętam go gdy byłem zupełnie mały i pamiętam go, jak kosił się razem w latach mojej już mijającej dojrzałości. Wychodzili oświacie i mama zanosila im w pole pierwsze śniadanie, potem „podobiodek”, a na obiad przychodzili do domu. Wypijali po dwa kieliszki wódki, jedli rosół z wędzonej wieprzowiny, ugotowane w rosole mięso z „zasmażoną” kapustą i znowu szli w pole; koło czwartej mama przynosiła im w koszyku „swaczynę” a na wieczór wracali już dobrze po zmroku.

Następnego ranka prosto ułożone i grube pokosy trzeba było rozrzucić, gdy podeszły w słońcu, obracało się je grabiami o rzadko nabitych zębach, a gdy ta strona także obeschia około południa,

trzeba było siano przewrócić jeszcze raz. Wtedy pachniało już mocno, było suche. Po obiedzie, tata kładł na „trakacz” kilka orstwi, wioził w pole, wbił je w regularnych odstępach a bąby z grabiami o gestych zębach grabiły starannie, tak by ani jedna lodyga nie pozostała na zagonie. Gdy tata przywioził i wbił dosyć orstwi, zaczynał w nich układać siano, tak by się dobrze trzymało na wystających prętach. Robota musiała być skończona przed spadnięciem wieczornej rosy. Mama oczywiście też grabiła, ale musiała po południu znowu przynieść w pole „swaczynę” a wieczorem przygotować kolację.

Siano stało w orstwiach, póki nie wyschło, a często trwało to długo, gdyż Ustroń należy do miejsc w Polsce o najobfitszych opadach. Toteż zebranie suchego siana było nieustanną troską. Ojciec niespokojnie obserwował horyzont nad Goleiszowem i Skoczowem czy się tam „nie mroczy”, obserwował laty jaskółek, chmurki nad górami i inne barometry mogące zwiastować deszcz. A gdy siano w orstwiach było suche, my dzieci biegliśmy do sąsiadów lub do starzyka na Pustki „pytać”, tzn. prosić, by przyprowadzili konie i zwieźli nasze siano. Tata już nie miał wtedy koni, zabrał je na wojnę najjaśniejszy pan i nie zdążył oddać, bo go

wygnano z tronu. Często zwożono siano w pośpiechu i popiochu pod grzmotami nadciągającej burzy i wtedy szybko wstawiano furę na gumno stodoły, byle je schronić pod dachem. Gdy jednak deszcz nie groził, furą dobrze przypiętą „przyponą”, by siano nie spadało po drodze, podjeżdżała pod szopę. Tak nazywano strych nad oborą, pod wysokim dachem, gdzie dosyć miejsca na przechowanie siana. W szczytce było dość duże okno, zamykane okiennicą z desek, i przez to okno podawano siano z fury a „na szopie” ktoś, najczęściej dzieci, gdy podrosły, układały to siano i ubijały ciasno. Jeżeli było choć trochę wilgotne, posypywaliśmy je czerwoną solą.

Doniosłość siana była dla nas dzieci oczywista bardzo wcześnie. Było to mleko w zimie. Czasami, w latach urodzaju nawet je sprzedawano. Spały w nim koty a potem przychodziły do kuchni pachnące jak uperfumowane. Gdy podrosłem, lubiłem syjać w sianie, które nawet po ułożeniu w szopie było nadal pełne szelestów, dziwnych głosów, jakby duszki, które nie zdążyły odlecieć ze skoszonych kwiatów, opowiadały sobie swoje tragedie.

9 IV 1988

JAN BEOSEPAŃSKI